

Aryman mści się



STEFAN ŻEROMSKI

Aryman mści się

Zbliżając się do szczytu wyniosłości życia, zwracał jeszcze spojrzenie w stronę krainy przebytej. Strudzone stopy ociężałe dźwigały wiek jego nędzny i ciężki, jak bryłę ołowiu, do ziemi nieznajomej, co się daleko ukazać miała. Ostrymi łokciami wparła się w jego ramiona uporczywa zgryzota i plecy mu w pałąk wygięła. Zelzały już rzemienne popręgi życia wśród blasku i wówczas widoczną była każda sina blizna, którą mocno i głęboko wypaliły. I serce, po tysiąc razy nasycone, już nie łaknęło.

Daleko w nizinach został ów czas, kiedy tak wszystko smakowało duszy, jak sama chciała. Skinienie ręki, na którego widok tłum rozstępuje się i ucieka, jakby go uderzał blask grotów włóczy schylonych i mieczów wydobytych; skinienie ręki, na którego widok czołga się do stóp nieznany człowiek, jakby go ciągnął powróż siepacza — znudziło się i obmierzło.

I w rzeczach wszystkich, które ujmuje posiadanie, widać było tylko zgryzotę.

O, gdyby można było wrócić się tą samą drogą, o, gdyby można iść wstecz i raz jeszcze ujrzeć, co się już widziało — ku dalekim dolinom, we mgłach tęskniczy roztopionym! Wrócić się do widzeń serca, zobaczyć znowu świat nieprawdziwy, odbity w oczach dziecka... Zważać w milczeniu, jak pod sercem, pełnym zdrad i wybiegów, poczyna się tajemne, sobie tylko samemu wiadome westchnienie i przewodniczy orszakowi myśli nowo narodzonych, które za nim idą w stronę mądrości...

Raz jeszcze temu wzruszeniu zaufać!

Tam w tych dolinach zostało się szczęście, które nie trwało dłużej nad czas jednej jutrzenki, a zwiędło, podobne do kwiatu wiosny na niwie, gdy wysoko wzbije się skwarne słońce...

A kiedy na obraz ciosów dzwonu za umarłych, które rozbijają ciszę poranka, twarda świadomość roztrącała westchnienie, głoścąc, że dni szczęścia już się nie wrócą, już się nie wrócą, jak śnieg z chmur spadły na dawne miejsce w przestworzu — wzniosł ciężką rękę, aby zatrzaskać drzwi miedziane. Na zawsze utracić opuszczone już życie, rozległe siedlisko żalu. Przestać czuć potrzebę rozkoszy, których liczba skąpa jest i wiecznie się powtarza, konieczność dziwactw ciągle odmiennych, a zawsze tych samych, świeżych, jak dopiero zerwane róże skojarzeń myśli, za którymi nieodzowne wlecze się z dala poziewanie.

Rzucić na ziemię i stopą rozedrzeć ostatni kwiat, a duszę, niewolnicę zmysłów, wprowadzić do okręgu, gdzie inny leci czas, nieczekający nigdy, który śpieszy się wiecznie na wyścigi z dziką pianą fal, z polotem wiatru i z płomienną błyskawicą. Tam ją przeciwko samej sobie obrócić, aby się poczęła żerać i trawić jak w ogniu. Aby zaczęła wadzić się z sobą i ze wszystkimi hasłami żywota. Zgromadzić dokoła niej jedynych sojuszników, jedynych przyjaciół i znajomych współbraci: własne jej siły. W mocną smycz ze skóry uchwycić namiętności jak psy i suki. W ściśniętej dłoni sforę ich nikczemną i szczekającą zatrzymać.

A gdy to marzył, stanęła przed nim twarda mądrość maga, którą był ongi poznał¹ i dla rozkoszy życia dawno odtrącił. I widział znowu wielmożną myśl Manesa², co się w irańskich przestworach, u jasnych ognisk dobrotliwego ojca Ahuramazdy³ zapaliła, co

¹był ongi poznał — niegdyś poznał (daw. forma czasu zaprzeczonego). [przypis edytorski]

²Manes a. Mani (216–276) — perski reformator religijny, prorok i założyciel manicheizmu, uniwersalistycznej religii dualistycznej, silnie zwalczanej przez chrześcijan i kapłanów zoroastrijskich; zginął śmiercią męczeńską z rozkazu króla Persji. [przypis edytorski]

³Aburamazda a. Ahura Mazda (pers.) — „Pan Mądry”, najwyższe bóstwo mazdaizmu i zoroastrianizmu; niekiedy jego imię zapisuje się: Ormuzd. [przypis edytorski]

Góra, Życie jako wędrówka,
Starość

Pies, Pan, Kondycja ludzka

się kochała w Baranku Bożym i ku ognistej tarczy słonecznej leciała, wiecznie stęskniona. Wtedy własne jego uczucia wlały się w amfory mistrza, co się zwał Parakletem⁴. Począł dumać o tajemnicy, o skrytym i niezbadanym duchu człowieka, o tym ogniu niebiańskim, pelgającym nad jaskinią.

I widział, jak gdyby w sennych marzeniach, pracę, walki i niedolę pierwszego człowieka, Adama, który po to przyszedł, aby się w nim dokonało wyzwolenie światłości. Duch jego miał zdobyć całkowitą wiedzę o sobie i rozwinięcie całej natury człowieczej. Ale pan mroku, ten, co się z przedwiecznego wroga jasności, z Angramainu⁵ wywodzi, zły duch z czołem, zranionym od pocisku boskich piorunów, umiał temu przeszkodzić. On to dał Adamowi kobietę za towarzyszkę. Nim nastąpiło wyzwolenie światła, Ewa wznieciła w duszy Adama straszliwą siłę, bezdenną, wszystko niszczącą władzę: miłość. Pod naciskiem tej potęgi Adam rozproszył, osłabił i utracił blask swego ducha. W miłości poczynił dzieci, które były spadkobiercami grzechu i niedoli. A jak było z Adamem, tak było z nim, Dioklesem, dalekim potomkiem.

Wtedy wydarł się z jego piersi głęboki jęk. Jęk żywota. Ujrzał raz na zawsze, że miłość dla kobiety i płodzenie z nią dzieci sprawuje zaplątanie się jasnego ducha w materię. I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał wzgardę rozkoszy cielesnej: pieczęć piersi.

Po wtóre w sennym westchnieniu oglądał drugie prawo wielkiego kacacza: oczyszczenie ducha przez wędrówkę z ciał ludzkich do ciał zwierzęcych i roślinnych. I głęboko przejrzał, że dusza zwierzęca jest częścią Boga. Dlatego wyznał wobec siebie, że zabójstwo zwierząt, zżęcie kłosa i otrząsanie owocu równa się morderstwu, ponieważ przemocą wstrzymuje rozwój światłości, uwięzionej w zwierzęciu i w roślinie.

I po trzykroć za prawo nieodwołalne uznał swobodę trzód, pól, gajów, rzek i stepu: pieczęć ręki.

Odtąd utonął cały w nauce wielkiego maga.

I śnił o świętym aniele blasku, jak w postaci węża namawiał pierwszego człowieka, aby zakaz przestąpił — i jak w nim przywiódł rodzaj ludzki do wysokiej świadomości samego siebie;

o jasnym aniele, synu słońca, jak w postaci węża krążył pomiędzy ludźmi, ucząc ich prawdy o naturze człowieczej;

o walce syna słońca wszczętej przeciw królestwu ciemności i o zwycięstwie książąt mroku, którzy część słonecznej zbroi objęli w posiadanie;

o tym, jak pan zesłał wówczas na ratunek człowiekowi ducha żywota, siłę, z siebie samej wynikającą, Egona, który do jarzma wprężonemu prawicę podał.

I oto duch żywota, wsparty przez inne potęgi, zwyciężył wreszcie pana ciemności. Z cielska jego utworzył nocne niebiosy, a z błysków światła, jakie w nim były, stworzył gwiazdy, w mroku lśniące.

Uwierzył Diokles, że gdy zupełne oczyszczenie nastąpi, duch jego, jako światłość czy sta, wzniesie się ku księżycowi, uleci ku słońcu i wejdzie do królestwa wiecznego blasku. Z nim razem oczyszczać się będą z materii ludzie i wszystek świat, od źdźbła chwiejnej trawy nad wodą aż do gwiazdy, żarzącej się wśród niebios, póki nie wyłączy się światło z mroku. A gdy materia blask utraci, zamieni się w bryłę martwą i przez ogień będzie pożarta. Dusza każda, która dobrowolnie odda się w niewolę ciemności, karę zasłużoną poniesie i w chwili ostatecznego rozdzielenia królestw będzie do trupiej masy przykuta, ażeby była jej stróżem. Dusza taka stanie się jedno z tym, co za życia kochała...

Tak uczył Manes.

Gdy słońce, gdzie Bóg mieszka w wieczności, słońce, którego natura jest naturą Boga, szło na zachód i w czerwonych piaskach puszczy libijskiej tonęło, Diokles uczuwał w duszy swej tęsknotę, bardziej rozległą i nieobeszłą⁶ od pustyni. Gdy zmierzch spadał

Kobieta, Mężczyzna,
Miłość, Upadek, Kondycja
ludzka

Mizoginia

Zwierzę, Rośliny, Kondycja
ludzka, Dusza, Podróż,
Odrodzenie, Morderstwo

Wąż, Grzech, Mądrość,
Kondycja ludzka

Stworzenie, Noc

Ciało, Zło, Światło,
Ciemność, Przemiana

Słońce, Bóg, Światło,
Księżyc

⁴*Paraklet* — z gr.: osoba wspomagająca kogoś przed sądem, obrońca, adwokat; w teologii chrześcijańskiej: wspomóżyciel, orędownik; Duch Święty. [przypis edytorski]

⁵*Angramainu* a. *Angra Mainju* (staroiran.: zły duch) — także: jedno z podstawowych pojęć w mazdaizmie i dualizmie zaratusztriańskiego; irańsko-perski bóg ciemności i demonów, zniszczenia i kłamstwa, uosobienie zła; byt odwieczny i niestworzony, w kosmicznej walce w religiach irańskich: mazdaizmie i zaratusztrianizmie przeciwnik Ahura Mazdy (Ormuzda); także: *Aryman* a. *Drudż* (dosł. kłamca, z sanskr.: *drub, drubjati*, tj. „czernić”). [przypis edytorski]

⁶*nieobeszły* — nie do obejścia. [przypis edytorski]

na rozkwitłe wawozy Egiptu, zwracał oczy i wargi szepczące ku światłu nocnemu księżycu, co jak namiestnik pilny i dbały dalekiego władcy, obchodził majestatyczne królestwo niebios.

Tak często spędzał noc bezseną.

A gdy się rozprasała i gdy brzask pasować się zaczynał z cieniami, brał z sobą mały poczet sług i na mule wyjeżdżał.

Mijał wówczas oazę Jowisza Ammona. Nie wabiły go szumiące jej strugi, przezroczyście jeziora ani cień zmoczonych rosą fig i granatów. Zagłębiał się w dzikie doliny i brnął wskroś nagich, płonnych, niepożytecznych płaskowzgórz zasianych ostrymi głazami. Tam, w tej ziemi, gdzie każde źdźbło usycha, gdzie już nie może wytrwać cedr ani sosna, między skałami szukał tajemnicy żywota.

Wchodził do jaskiń zatarasowanych, które były mogiłami ludzi pustyni — i długo patrzył na zwłoki leżące.

Wyschnięte ciała starców stuletnich, chrześcijan i kacerzy, były całe, niedotknięte przez zgniliznę. Mocno zwarte, suche dłonie ich ścisnęły krzyże swe z drzewa. Palmowy liść, co im za płaszcz służył, skruszył się i rozsypał. Leżeli nadzy. Zdawało się, że śpią, uśmiechając się do widzeń ducha.

Trwali tam setki lat w jamach skalnych ci nieśmiertelni ludzie. Pożywieniem ich był owoc palmowy, napojem woda. Tyle tylko zażywali pokarmu, żeby wydatek sił równy był przychodowi, a osiągnęli tę doskonałość, nie wprowadzając do swego ciała niczego, co gnije, co jest już własnością śmierci. Nie jedli mięsa zabitych zwierząt, nie pili sfermentowanych napojów. Wszelką zgniliznę wydobywali z żył swoich przez moźół nieustający. I wychodziła wraz z potem, który zlewał plecy, ręce i czoła. Siłę życia czerpali z żyjących promieni słonecznych, z jasności powietrza, z woni ziół. Ciało ich było tak samo czyste, jak duch. Częste, długie, z dnia na dzień dłuższe posty uczyniły je niezależnym i nietykalnym. Dlatego śmierci się oparło.

Diokles, opuszczając czerwony kraj pustyni, gdy wracał do pachnących sadów Egiptu, czuł, że jest pośród nich jak przychodzień z ziemi cudzej...

A gdy jednego dnia sam szedł i miał przekroczyć próg domu, zastąpił mu drogę fellah, oracz ubogi, i rzekł:

— Córnka, którąś mi z chaty wziął do łoża swego, powiła dziecię.

Diokles zatrzymał się u drzwi. W głębinie duszy swej mówił:

— Oto jest pokusa szatana...

A do chłopca rzekł:

— Nie chcę widzieć niemowlęcia. Chcę być sam, sam jeden. Ty z nim uczyn, co chcesz. Wychowaj albo, gdy ci zawadza, rzuć w wodę Nilu.

Ale wewnętrzne, drżące wzruszenie ścisnęło mu gardło, gdy miał powtórzyć słowa rozkazu. Zapytał:

— Syn?

— Tak jest, o panie.

Wtedy wymówił:

— Chcę go zobaczyć.

I wszedł do nędznej, czarnej chaty nad wodą. Tam ujrzał leżące w łachmanach dziecko swoje. Miało zaledwie parę tygodni. Oczy jego były jeszcze nieruchome, zimne, wrażliwe tylko na światło i mrok. Spojrzył, jak bezradnymi rękoma przestwór chwyciło, i dziwne myśli usłyszał w głowie swej, jakby mu je szeptały do ucha namiętne wargi:

— Może to jest ten, co będzie zastępował cały ród ludzki...

Zdeptaj⁷ go, zdeptaj!

— Może to jest ten, który z serca wyjmie iskrę prawdy i piorunem jej ziemię czarną zapali...

Zdmuchnij ją, zdmuchnij!

Może to jest ten, co mrok rozedrze jak Samson⁸ lwa...

Złam jego ręce, złam!

⁷zdeptaj — dziś popr. forma 2.os.łp trybu rozkazującego: zdepcz. [przypis edytorski]

⁸Samson — postać biblijna (Ks. Sędziów rozdz. 13–16), charakteryzował się nadludzką siłą: wspierając Izraelitów w walce z Filistynami, gołymi rękami zabił lwa; posługując się jako jedyną bronią oślą szczęką, rozgromił armię nieprzyjacielską; pokonany (gdy wskutek zdrady jego kochanki Dalili, która wskazała wrogom jego se-

A kiedy stał pochylony i patrzył w maleńkie ciało dziecięcia, płomień radości z jego serca buchnęły. Znalazł już wszystko. Odszukał samego siebie. Nie przewidywał takiego uczucia, podobnie jak nikt nie wie pośród wesela o łzach, a dowiaduje się całej o nich prawdy wówczas dopiero, gdy je w nieszczęściu przyjdzie wylewać.

Szybkimi krokami udał się do swej siedziby i wrócił prędko, dźwigając wór pieniędzy. Obsypał złotem matkę niemowlęcia i całą jej rodzinę. W zamian za syna darował im grunta, na które wylewają się czarne wody. Kupił go na swoją, na niepodzielną własność. Łkając oddawała go matka, ale złote monety, których pełne garści jej rzucił, uciszyły jej boleść.

Diokles wrócił do swego domu z dziećciem i drzwi zatarasował. Czarny niewolnik jeden jedyny miał prawo wstępu do komnaty, gdzie stała kołyska. Gotował mleko, rozcieńczone wodą, przyrządzał kąpiel i lniane chusty. Diokles sam dawał pożywienie synowi, sam go przewijał, kąpał i utulał w płaczu.

Spędzał z nim długie, szczęśliwe godziny.

Gdy dziećcie ze snu otwierało oczy i wzrokiem przygasłym śledziło błyski słońca, ozłabające ściany, leżąc na dywanie, głowę kładł przy nim i w małe ciało przelewał swą wolę, swe myśli i marzenia. Do kruchej piastki, stulonej jak liść grabowy, co się w dniach wiosennych z pąka wydobywa, przyciskał wargi z błaganiem:

— Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś był panem, którego witają poddani, zginając grzbiety. Nie chcę, żebyś był panem, który może, gdy chce, łzy wycisnąć i uśmiech szczęścia darować stęsknionemu tłumowi. Nie chcę, żebyś był wodzem, którego potęga łamie góry i w skiby urodzajne obraca. Nie chcę, żebyś był królem o prawicy rozciągniętej nad krajem, gdzie lata kamsin⁹ nad wszystkimi falami Nilu i nad jego deltą wiecznie kwitnącą. Nie chcę, żebyś był królem, który może wznosić lub zwałać Diospolis, Luksor i Karnak, a kładzie się spać na wieki, sam jeden, w czeluściach piramidy.

Synu mój, synu...

Nie chcę, żebyś posiadał mądrość, matkę niewidzialnej władzy nad ludźmi. Nie chcę, żebyś był twórcą potężnym, którego imię powtarzać będą ze czcią i zdumieniem dalekie, obce ludy.

Synu mój, synu...

Pragnę, żeby moje wzruszenia weszły w twe serce jak iskra ognia. Pragnę, żeby moje męczarnie tobie serca nie zraniły, a innych żebyś nie poznał. Pragnę, żeby z ducha twojego wyrosło, jako czyn, moje serce, zdławione rękoma nieszczęścia.

Synu mój!

Bądź czystym, który oburącz wynosi z mroków światło słońca. Bądź mężnym, który śmierć przekłada nad złamanie słów, zaprzysiężonych w obliczu swego ducha. Posiądź uśmiech szczęścia, który warg nie odstępował nigdy, nie odstępował na krzyżu, gdy gwoździe katowskie ręce przybijają do drzewa.

Synu mój!

Dam ci potęgę samotności, której nie miał Adam, pierwszy pracownik. Dam ci potęgę najgłębszą: nie zaznasz miłości dla kobiety. Włożę w twe oczy wyniosły wzrok zwiastuna, który widzi wieczność i drogę idącą ku słońcu za łańcuchami gór.

Posiądź szczęście! Bądź nieśmiertelny sam w łonie swym, bądź wieczny, tu, za życia, i niechaj wieczne będzie twe ciało!

A gdy maleńką dziecinę opanowywał płacz i gdy krzykiem uskarżała się na ból czy nudę swoją, wyrwał ze strun lutni głęboką melodię, pierwszy raz przez wzruszone palce w nich znaną. Pod wpływem jej dziećciatko się uciszało. W oczach jego ukazywała się zdumiona ciekawość, a na wargach zakwitał uśmieszek niewysłowiony. Uśmieszek

kręt, obcięto mu włosy i pozbawiono siły) wstrząsnął kolumnami świątyni pogańskiej i zburzył ją, grzebiąc pod jej ruinami tysiące Filistynów i ginąc zarazem. [przypis edytorski]

⁹kamsin, właśc. khamsin — suchy, gorący, wiejący piaskiem lokalny wiatr w Egipcie i Lewancie (tj. na obszarze obejmującym Syrię, Palestynę, Jordanię, Liban i Izrael), w różnych rejonach noszący nieco odmienne nazwy; także: khamaseen, chamsin a. hamsin) [przypis edytorski]

do dźwięków muzyki, do owych istnień, radosnych od blasku albo ponurych i strasznych jak wnętrza trumny zbutwiałej, do rzeczy bezkształtnych, świetlistych, pachnących, głodkich, których byt wspólny z dźwiękami się oznajmiał... Pierwszy uśmiech przychodzi do najmilszego, co ma ta czarna ziemia...

Kiedy indziej, gdy wśród nocy głębokiej siedział schylony nad kołyską, a przed blaskiem płomienia kryły się po kątach nietoperze cieniów, niemowlę wpatrywało się w te ruchome czarne figury.

Diokles tonął w dociekaniu, jakie uczucia przejmują wówczas serce jego syna. Czy dlań człowiek nie jest tym samym, co cień jego postaci... Pragnął iść za każdym z tych wrażeń, za każdym z westchnień, jak niewidzialny świadek i modlić się z oddali w ostrym zranieniu ducha, ażeby na wzór obłoków, wstających z ziemi i wód o wczesnym poranku szły do słońca.

Innego dnia siedział na rozciągniętym dywanie, gdy dziecię spało. Zaczęła nad nim krążyć zła mucha. Siadała na małym czole, na licu, na ustach i na zamkniętych powiekach. Wolno rozwarły się oczy niemowlęcia. Brwi jego drgnęły i wejrzenie zgrozy pełne ściagało muchę. Ona krążyła dokoła małej głowy, jakby szukając miejsca, które ma zranić. I nagle zalekniecie spadło na sennie oczy, a twarz przeszło niby strzała ognista.

Diokles stał z dala. Splcione dłonie przycisnął do piersi i z cicha szeptał:

— Oddał się, zła mucho, zła mucho, straszny zwiastunie. Idą za tobą stada potworów, kryjąc się w cieniach. Przeciwno mnie zwróć żądło twoje. Spraw, niechaj serce me zarobi się i ustanie pod ciężarem boleści. Niech po każdej nocy poduszka moja mokrą będzie od łez na próżno wylewanych. Niech każda jutrznia wschodząca w dyby smutku zawiera nogi moje, a zmierzch niech nie zdejmuję z mych rąk — żelaznych kajdan ucisku. Niech, jak badył sitowia pod wiatrem, slania się dusza moja u twardych stóp niedoli, tylko od niego odejść, zła mucho, zła mucho...

Nastał ów dzień.

Diokles sprzedał dom i pola, które błogosławiony, czarny kemi¹⁰ zalewa, ciche ogrody nadrzeczne, gdzie kwitły pomarańczowe i cytrynowe drzewa, gdzie lśniące laury zwiększały cień, a nieruchoma brzoza babilońska śliczne gałęzie zginała nad wodą. Sprzedał za bezcen, a pieniądze rozdał garściami nędzarzom na wybrzeżu i u drzwi świątyń. Z niezliczonego dostatku zatrzymał trochę odzieży i parę juczych mułów. Na wsze strony rozgłosił, że kraj opuszcza i dąży w stronę Arabii.

O wczesnym świcie uciekł z doliny, niosąc syna w zgrzebnej płachcie na plecach. Szedł w stronę przeciwną, w tę stronę, dokąd idzie słońce, na zachód, w puszcę libijską. Szedł długo, aż tam, dokąd już nikt nie chodzi, gdzie na słońcu wygrzewa się samotny lew, gdzie niekiedy przelatuje wskroś piachów cień sępa i gdzie puchacz chichocze w ciemną noc.

Miejsce to było zawałone skałami. W ich głębi tały się suche jamy, na pół przez wydmy zasypane. Niegdyś w ciągu wieków zamierzchłych stada Etiopów wylupywały tam kamień i olbrzymie jego bryły linami, na kołach skrzypiących ciągnęły, żeby z nich wznosić świątynie i piramidy. Stały tam jeszcze otworem głębokie pieczary, gdzie Izrael, kując porfir, łkał pod batem i w nieznaney mowie przeklinał Mizraim, ziemię egipską, dom niewoli. Naokół piętrzyły się rude wzgórza i skalne urwiska, a dalej wędrownie kurhany i zasy piasku, który przelatuje na skrzydłach wichrów po przestrzeni szerokiej. Dokąd oko pobiegło, leżała wszędzie pustynia czcza i ogołocona, morze piasków ciche, nieruchome, w promieniach słońca od soli połyskujące. W tym miejscu Diokles znalazł drzewa palmowe, trawnik i kwiaty, źródło wody krynicznej i suchą jaskinię. Tam rozesłał poduszkę z sitowia i na niej ułożył dziecię.

¹⁰kemi — czarna ziemia, muł rzeczny; staroegipskie słowo na określenie żywnego mułu nilowego. [przypis edytorski]

Gdy od tej chwili ćwierć wieku upłynęło, plecy starca zgarbiły się, długa broda do pasa sięgała, ręce wyschły, słuch i wzrok stępsiał. Gasnącym okiem spoglądał Diokles na syna, który go przerósł o głowę. Oczy młodzieńca były czarne i głębokie, jak u matki, a długie, wzburzone włosy były niby sen, który ją przypominał. Młody pustelnik prócz ojca nie widział przez cały swój żywot ani jednego człowieka. Żyli w skałach we dwu, jak szakale. Czasami, gdy w strumieniu dużo namoczyli liścia palmowego i upletli obfity stos koszów, Diokles brał towar na plecy i szedł w puszcze, nie mówiąc synowi, dokąd się udaje. Kiedy powracał, niósł zapasy i pisma święte.

Pewnego dnia, wstawszy rano, rzekł Jan do ojca:

— Miałem sen dziwny i piękny, jak gdybym w ciągu tej nocy gościł w niebiosach. Zamknąć oczy i raz jeszcze zobaczyć te same widzenia!... Gdy czuję, że się w głębi mego wzroku oddalają, i gdy wstrzymać ich nie mogę, krzyk się z mych piersi wydiera.

Przychodziły do mego łoża i stawały nade mną dziwne istoty, do mnie ani do ciebie niepodobne, choć miały nasze ludzkie ciała. Nigdy ich nie widziałem w pustyni.

Włosy ich były długie... U jednej żółtawe niby drzewo bukszpanowe, ale połyskujące jak piaski dalekie o zachodzie słońca.

Druga miała włosy ciemne i wzburzone jak dym, kiedy leniwie wzbija się kłębammi nad mokrym drzewem ogniska.

Włosy trzeciej były czarne, bez blasku, tak długie, tak nieskończone i ciągnące do siebie, jak wielka jaskinia, na której dnie jeszcze nigdy nie byłem.

Szyje ich były okrągłe, cienkie, a tak się zginały, jak u ptaków. Stwory te odziane były w lśniące szaty, które, tańcząc dokoła mojej pościeli, rozpinały wstydliwymi palcami. Wtedy ukazywały się piersi ich okrągłe, śnieżyste, podobne do obłoczków rannych, które łagodny wiatr z nocnej głębiny wynosi. Usta ich były purpurowe jak kwiat granatu, który jednego dnia przyniosłeś mi z daleka, stamtąd, gdzie sam bywałeś.

Lekki ruchy, na okrągłych biodrach kołysały się uroczo, jak się kołysze mirt u brzegu krynicy, gdy wicher zimowy nad siedzibą naszą czarne pióra otrząsa. Zbliżały się cicho i z lękiem, wznosiły ręce bielsze od mleka i posłanie me zaścielały szkarłatnymi chustami. Witwały się ze mną łaskawym skinieniem brwi i wątyłym dreszczem rzęs, a oczy zasłaniały liliowymi powiekami, które sieć małych żyłek przecina. Jeżeli kiedy odkryły się oczy ich, błękitne albo czarne, to je ocieniała dziwna, mglista zasłona. Płonąca barwa wypływała na ich policzki bez skazy... Wtedy słyszałem jak gdyby liście z cicha szumiące i zdało mi się, że wymawiają pieszczotliwie me imię. Z ust mych, gdy na nie patrzyłem, wydierało się senne, obumarłe łkanie. Patrzyłem, czyli z ich ramion nie wyrastają skrzydła białe, jak to mówiłeś o aniołach...

Diokles siedział milczący, z głową w dłoniach ukrytą. Rzekł nagle:

— To są szatany.

— Szatany... — konającym głosem powtórzył Jan. Zamilkł w zdumieniu i wzrokiem pełnym bólesci przed siebie spoglądał.

Wtedy ojciec jął go zaklinać, ażeby precz wypędzał widzenia czarujące. Błagał go cichymi słowy przez Pana, który jest zawistny miłośnik, przez Pana, który jest waleczny i w walecznym człowieku miłość swą składa.

Syn uwierzył. Częsty post, nawet od daktylowego owocu, czarty z jego oczu wypędzał. Lecz nie zawsze. Przychodziły doń ciemnymi nocami owe istoty tajemnicze. Stawały przed nim i wyciągały ręce... I nieraz w ciągu dnia, gdy kuł grobowe łożnice dla ojca i dla siebie w twardych pokładach muszlowych, gdzie minione stulecia złożyły szczątki drzew i roślin skamieniałych, przychodziły te same widma, zamglone w szelestach uroczych, w woniach kwiatowych, w ciszy nieruchomej i w łagodnych tchnieniach wiatru. Wtedy pracował w dwójnasób, wtedy dźwigał olbrzymie bryły z daleka i otaczał nimi całą oazę. Czynił tak długo i z uporem, póki zemdlony nie padł.

Wysoko weszło słońce i zajrzało do grotu. Diokles spał z rozwartymi oczyma i ustami. Spał na wieki.

Po upływie dni paru, gdy nie dał znaku życia, odniósł go syn do kamiennej trumny na szczycie skał, złożył tam pieszczotliwie i wielkim, ociosanym głazem przywalił.

Sen, Kobieta, Kobieta
demoniczna, Mizoginia,
Ojciec, Syn

Teraz był sam w pustyni.

Serce jego pełne było świętego żalu, a dusza na wieki przyrosła do grobowca na skalnej wyżynie. Tajemna, głęboka, niewiadoma siła przyciągała go do tych kamieni na górze, jak bryła bursztynu przyciąga kruszynę żdźbła słomianego. Szedł tam co wieczór i o świcie, siedział w zadumaniu, pełen wzruszenia, które nigdy nie słabło. Lecz w ciągu dnia, gdy się imał pracy, ogarniały go podniety niespokojne i dzikie żądze w nim się burzyły. Tchnęło weń z obszaru, na który padał wzrok, pragnienie, żeby iść, iść daleko, w tę stronę, dokąd chodził ojciec. Wtedy duch jego młody trząsł się i kipiał aż do dna, jak siwe, straszne, oszalałe morze, gdy w nie runą wichry z północy i wichry z południa.

A kiedy zasępiło się niebo i słońce, blask utraciwszy, stało jak krąg fioletowy; gdy szare powietrze napelniał kurz latający, który opaść nie może; gdy wicher buchać zaczynał z miejsc czarnych i pustych — wtedy Jan pragnął z nim lecieć, lecieć na koniec świata i ulegać podmuchom, jak pajęczyna wisząca u zrębu pieczary. A skoro wicher przedzierzał się w samum¹¹, w straszliwe tchnienie nozdrzy Boga, a wzdęte piachy wydzierają się z pustyni niby cienkie żagle, zaczepione o niewidzialną reję w chmurach, a drugą w głębi ziemi — wówczas z mroku swojej pieczary widział cudaczne zjawiska. Skalne zręby, gdy w nie wicher uderzał, miotając się i dymiąc — ziewały, a z paszczy ich strzelał ogień. Ciemność parna i duszna latała nad ziemią niby skrzydła szatańskie. Przewór napelniał się cały żywicą gorejącą. Marmur, żelazo i woda parzyły rękę. Wtedy ogniowe, ze strony słońca lecące chmury splatały się z łonem piasków rozpalonych jak ciało, którego piersi były okrągłe, ramiona słodko rozwarłe, a włos falami rozwiewał się po nagiej szyi.

Jan upadał twarzą na ziemię i wzywał ducha ojcowskiego na pomoc. I święta miłość gasiła widma szatańskie. Budziła żądzę czynu, który kiedyś wypełniony zostanie. Czyn ten przed zaśnięciem nakazał mu Diokles, mówiąc:

— Gdy w cichej wodzie źródła zobaczysz, że włosy twe białe śnieg okrył, gdy nogi twe ustaną, ręce zgrabieją i głowy już schylać nie będziesz, przestępując próg jaskini, wtedy opuścisz to miejsce i pójdziesz dniami, nocami w stronę, gdzie słońce wschodzi.

Jan siedział o świcie obok trumny ojcowskiej na wierzchołku skały, gdy oczom jego ukazał się ów widok. Zdało mu się z początku, że to plama, wijąca się w źrenicy, że lew, że stado antylop...

Zbiegł szybko, stanął u drzwi swej grotty i patrzył zdumionymi oczyma. Zbliżały się ku jego schronisku myszate wielbłądy z długimi szycami i pyskiem o wardze przeciętej, miamlącej strawę. Zgrzytał żwir pod ciężkimi nogami ich o nagniotkowej podeszwie. Między garbatymi grzbietami wznosiły się połyskujące siodła, a w nich leżeli wspaniali, znużeni ludzie. Obok dromaderów wlokły się leniwie ociężałe muły, dźwigając pakunki, szły piękne konie o skórze cienkiej jak u człowieka. Migotała polerowana miedź puklerzów, zwieszały się z ramion długie, białe tkaniny i płonęła w słońcu od drogich kamieni zimna, cicha, błękitnawa broń.

Gdy karawana pod cieniem palm zatrzymała się na chwilę i gdy jeźdźcy na wyścigi rzucili się do źródła, nadciągnął jeszcze orszak inny. Sześciu olbrzymich Murzynów niosło na ramionach palankin z bambusu. Szkarłatne chusty zasłaniały jego wnętrza, a złota frędzla wlokła się z szelestem po ziemi. Czarni niewolnicy wstrzymali się na chwilę. Zasłona rozsunała się wolno i spoza niej wyjrzały senne, głębokie, a jakby blaskiem księżycy posrebrzone oczy. Czy te wzniosły się na Jana...

Błękitna noc okryła pustynię.

¹¹*samum* a. *chamsin* — gwałtowny, gorący i suchy wiatr pustynny wiejący w północnej Afryce i na Półwyspie Arabskim, pojawiający się najczęściej od kwietnia do czerwca; jego porywy wywołują burze piaskowe i pyłowe. [przypis edytorski]

Jan zawarł¹² ciężkie drzwi swego schronienia i rzucił się na łożo. Gdy pierwszy sen zaczął kleić jego powieki, dało się słyszeć kołatanie. Wstał tedy i odsunął wrzeczadź¹³ drewniany.

Na progu jego jaskini stał człowiek. Serce w pustelniku zadrżało, a tchnienie radości głos mu odjęło. W zachwycającym omamieniu sądził, że to ojciec umarły ciężkie swej trumny wieko odwalil i u drzwi stoi. Lecz ten, kto przybył, rzekł doń głosem cudzym, a głos jego szeptał wdzięcznie jak szmer strumienia, co się po ostrych kamykach między kępami cyrenejskiego ziela przelewa. Palce Jana wpiły się w opokę grotty, a wicher ogniasty wionął przez jego głowę. Zapach cichych i bojaźliwych słów otoczył go jak woń róż deszczem zmoczonych i jaśminów, które się tulą na wiosnę u boku zapomnianej cysterny.

Mówił ten głos:

— Przyszłam do ciebie...

Przez puszcę daleką, przez oschłe piaski dzień i noc biegłam. A razem ze mną toczyło się pustyni ogniste koło i zamykało mnie w sobie.

Ale ja szłam do ciebie... Wierzyłam, że cię odnajdę, wierzyłam w to, nie wiem czemu... Raz tylko widziałam twe oczy i twoją czarną twarz, po której coś się przemyka, coś, lepsze od polysku złota.

Jakże mi się podobał rumieniec, który wtedy na nią wypłynął z głębin twojego serca, podobnie jak ranna zorza wypływa ze słońca, które jeszcze za krawędziami ziemi się kryje! Jakże mi się podobały nozdrza twe, gdy prędko miotać zaczęły oddech gorący! Jakże mi się podobała cera twej szyi nagiej, spalonej, o barwie czarnych róż, które pod moje okna przywozi co dzień z tamtej strony Nilu przekupień grecki, poruszając ciche fale jodłowymi wiosłami, gdy budzą się senne pelikany nad wodą!

Raz cię ujrzałam i już odtąd nie mogłam spać przy matce, w wąskim łóżku dziewiczym. Jak silny, mściwy bóg, coś ze mnie wydarłeś jednym spojrzeniem czarnych oczu.

Krzywy dziób sępa nie tak chciwie szarpie pisklę synogarlicy, jak błysk twych oczu napadający w biały dzień i w ciemną, bezgwiezdną noc...

Jan o krok posunął się naprzód i wyciągnął rękę. Chciał zwalić szatana w piersi kamiennym krzykiem, ale tylko szeptał miękki, jak słaby motyl, sfrunął z warg jego:

— Odejdź...

Znowu ozwał się głos:

— Dziecię niewinne!... Święty człowieku, który w puszczy żywiesz¹⁴ i ani jednej zbrodni ludzkiej nie widziałeś!

Trwożne westchnienia płynęły w żyłach mych i sidło strachu ścisnęło mi serce... Drżałam w wahaniu się bezsennym, bo wielbię wszystko w tobie, nawet świętą dziewiczość twoją. W słodczy zachwycenia paliłam się od westchnień i byłam wszystka jak płomień nieujęty, co wiecznie przygasa i wiecznie się odradza. Znikałam tak jak on. Serce, uciemnione przez pragnienia tajemnicze, przymuszało mnie do ciągłych łez nie wiadomo za czym, a żadna uciecha osuszyć ich nie była w stanie. Karmiłam się łzami żywymi, co jak woda z krynicy nieprzebrane płyną...

— Królu, z czarnego oddalenia nierychło wschodzący, tronie wieczysty, słońce, które miłujesz potężnych i niezdobytych, kiedyż się rozednieje i kiedyż przeminie władza nocy!...

— Ty, jak powabny, błękitnawy, zawstydzony obłok, zostałeś za mną w dalekim przestworzu. Nic już nie czułam z żalu. Topiłam się w tęsknocie i błada, bez tchu, przełknięta drżałam wobec niewiadomych uczynków, które w wym łonie drzemały, poczęte w tej chwili czasu, kiedyś cię ujrzała. I oto jednej nocy kazał mi głos, bym szła do ciebie.

— Waleczny, Skazany, Przybity do krzyża, Ty, co z wieczności wyciągasz prawicę do duchów jasných, wyciśnij pieczęć na piersi mej! Tyś jest mój Pan jedyny i skała moja!

— Słyszę twój głos zębrzący i widzę cień twej postaci.

¹²zawarł (daw.) — zamknął. [przypis edytorski]

¹³wrzeczadź — okucie z otworem przetykane skoblem, służące jako zamknięcie drzwi lub bramy. [przypis edytorski]

¹⁴żywiesz (daw.) — żyjesz. [przypis edytorski]

Czemuż nie zbliżasz się do mnie i nie wyciągasz stęsknionych rąk? Zimno mi. Nędzny mróz obejmuje ramiona moje i ściska piersi. Chłodna jest w nocy pustynia, tchnie lodem oddech jej wielki. Czyż mnie nie weźmiesz do chaty swej, boży człowieku?

Jan szeroko drzwi otwarł, a sam się cofnął w głąb grotu. Stamtąd słyszał, jak suchy, drobny piasek zgrzyta pod skórzanymi ciżmami i jak szeleszczą jedwabne szaty, które poprzedza rozkoszna woń, jak gdyby wątych lilii. Głowa jego upadła na piersi, a ręce znalazły w ciemności krzesiwo, kamień i próchno drzewne. Błysnęła iskra i zatliła lniany knot w misce z kamienia napełnionej żywicą. Zapalił się duży płomień. Stojąc za nim z przymkniętymi oczyma, Jan słyszał pieszczący głos:

— Pragnę cię widzieć, raz jeszcze cię zobaczyć. Mienisz się w ogniu, jak puchar z kruchego kryształu. Pozwól mi zabrać i ukryć w sercu blask twoich źrenic, ogień uderzający, co jak wino z wyspy greckiej upaja.

Czemuż zamknięte są powieki twe?...

Wtedy wzniosł oczy. Usta jego były drżące i wypełzło z nich słowo leniwe jak wąż, któremu głowę zmiażdżyły kamienie:

— Ojczy, przyjdź mi na pomoc!...

— Czemuż nie mnie pieszczotliwie przyzywasz?

Spojrzenie twe wyteżone jest przeciwko głowie mej niby ciężwa krzywego łuku. Ostra strzała, która z niego wyleci, zepchnie mnie w wieczny grób! Czemuż mnie przerażeniem zdejmujesz i czemu straszny jesteś jak ryk leopardowy, gdy go w głębokiej nocy słychać w pobliżu?...

— „Serce czyste stwórz we mnie, Boże, a ducha prawego odnow we wnętrznościach mych!”

— Kochanku!

— Tyś to jest szatan?

— Ja jestem tobą samym. Ja i ty to samo teraz jesteśmy. W sercu twym mieszkać pragnę i płynąć w twojej krwi. W czarne oczy twe wcielić się i na wieki pozostać. Czemuż mnie szatanem zowiesz? Czyżem nie piękna?

— Piękne są oczy twoje płomienne, które z góry powiekami nakrywasz. I usta uchylające się na obraz róży młodocianej.

Piękne są ręce, które w tyle głowy splotłaś palcami.

I długie włosy. Płyną jakby dwie fale, jak czarne wody; z białych ramion na piersi...

Piękniejsze jest czoło two niż blask księżycy między drzewami w nocnym milczeniu. I czarne brwi...

Szyja twa chowa się między piersi śnieżyste jak wiosenne niebo między dwa białe obłoki. Pachnie szata połyskliwa, którą biodra swe opasałaś. Uśmiech twój we snach widziałem.

Zaklinam cię na imię, które nie może być wymówione, opuść mnie...

— Upadł na twą twarz czerwony ognia blask. Lśni się nad czołem kędzierzawych włosów puszcza. Zabyły oczy twe. Jesteś przeraźliwy i zimny, jako oblicze Anubisa, wodza umarłych. O, gdyby mógł rozpaść się w tobie swobodny ogień i gdybyś stał się tak jak ja, pijany od krwi kipiącej! Lwie pustyni!... Pragnę, żebyś mnie, słabą, pochwycił i dusił barkami, w których się prężą żyły pełne gęstej krwi!

Chciałabym czuć ramiona twoje wokoło piersi, wokoło żeber, olbrzymie jak las dziewicy, skąd widać jedwabne fale morza, co się pieszczą nad burzliwymi głębiami. Na wargach twych, parzących jak węgiel rozdmuchany, zakwitłby cichy, zły, straszliwy, ukochany półuśmiech. Nie wiesz, jak pachnie rozchylająca się róża mych ust. Nagle przyszłoby szczęście jak niespodziewany z cichego horyzontu powiew kamsinu. Ponure oczy twoje, żelazne oczy tygrysa, co pierwszy raz ujrzały młode jagnięta w dolinie, omdlałyby nade mną. Wzrok twój stałby się długi i przykuwający jak zapach tuberoz, który nocna rosa wypiełgnowała. Czoło twoje wzniosłoby się nade mną radośniej niż wietrzyk przelatujący nad ziemią egipską, gdy zimowy deszcz ustanie. Wielbiłabym straszliwe czyny twoje i wilałabym się pod ramieniem twym, kiedy byś stękał i drżał, jak dąb na szczycie gór wśród huku burzy. Wielbiłabym zapalający ogień w tobie słowem bezwstydnym, co przesywa serce soplami lodu...

— Słowa twe przesywają serce soplami lodu...

— Pójdź do mnie! Tyś jest jak kwiat akacjowy, co z twardej łuski drzewa wyszedł

Kuszenie, Ogień, Ojciec,
Syn, Mężczyzna, Kobieta,
Ciało

i otworem stoi, spoglądając w ciemną noc. Ja jestem kropla rosy dla ciebie jedynej stworzona. Posłuchaj, jak leci w żyłach wzdętych rozdzierająca krew. Będziesz umierał na sercu mym i w każdej chwili odradzać się będziesz, gdy usta twe odetchną w moich, a dusza twa w moją wejdzie, jak płomień wchodzi w płomień!

Jan usłyszał w głębi swej duszy słowo:

— Płomień.

To był głos ojca.

I jeszcze raz powtórzył ten sam głos:

— Płomień, płomień!

Wtedy, podniósłszy na nią oczy, Jan rzekł:

— Świętego apostoła są słowa: „którzy takie sprawy czynią, na męki idą”.

Patrzcie, jak płonie ogień wieczny i jak się pali grzeszne ciało, które rozkosz nawiedziła.

A gdy te słowa wymówił, podniósł rękę prawą i wskazujący palec włożył w płomień ognia, co na misie kamiennej pełgał. I stał tak dotąd nieruchomy, aż się palec zatlił, rozpalil i gorzał.

Wtedy dla wielkiego cierpienia przestał pustelnik czuć rozkosz widoku piękności.

A ona, widząc, co czynił, z przestachu jak kamień się stała. Oniemiały jej usta, upadły bezwładne ręce i z oczu lazurowych życie uciekało.

Z jękiem upadła na ziemię. Włosy jej długie, włosy czarujące, włosy pełne zapachu rozwiały się po ziemi, a łono, siedlisko rozkoszy, druzgotał młot boleści. Błask płomienia padał na jej cudowne ciało. Tak aż do rana w prochu nieruchomo leżała. I aż do rana w milczeniu to samo czynił, aż u prawicy poupalał wszystkie palce.

Wtedy nad nią stanął i mgłami zakryty wzrok schylił ku ziemi, a wyciągniętą ręką uczynić chciał nad leżącą znak krzyża.

Zbielałe usta jego szepnęły:

— Odejdź w pokoju.

Kiedy i wówczas nie powstała, schylił się, żeby ją dźwignąć.

A dotknąwszy ramienia, poznał, że umarła.

Wyniósł się tron słoneczny na brzeg daleki piachów pustyni i roztrącił wszechmocnym skinieniem noc zielonawą. Rosy nalistnice szukały przed nim ukrycia w głębinie ziemi i w komorach pachnących kwiatów. Z wolna posuwał się cień wielkiej skały, który, jak płaszcz szeroki, okrywał leżące przede drzwiami grotty ciało Jana.

Pustelnik spał.

Gorączka krew jego zamieniła w płomień, huczące w żyłach; niby kupa rozżarzonych węgli obiegła czaszkę. W stawy jego kołatały młoty wstrząśnień bolesnych. Spał twardo. Pięść upaloną, rozpuchłą i drgającą tulił do piersi...

Łkał we śnie.

Aż oto tron Pana wstąpił wyżej i cień skały zwinął jak połę opończy. Promienista prawica słońca spoczęła na czole śpiącego.

Wtedy Jan oczy otworzył, ale wnet zawarł powieki i patrzył w głębinę swego ducha, gdzie wrzała straszliwa burza jak gdyby samum rozszarpujący ziemię.

Krwawa pięść Jana wzniosła się w górę, w tę stronę, gdzie na skalnej wyżynie była trumna jego ojca. Spalone usta wołały z krzykiem:

— Straszny i okrutny dla mnie był duch twój, jak struś, co jaje zniesie, w piasku pustyni zakopie, a sam ucieka.

Przeklęta niech będzie miłość twa dla mnie, z której poczęła się twoja siła, a moja słabość.

Łakomy zżeracz i zawistny tępiciele szczęścia, czemuż nie poszedłeś do szatana uczyć się dobroci?...

Dobry jest szatan i państwo Jego rozkoszy: noc.

Niech będzie błogosławiony szepot jego cichy i niech zagaśnie w piersi mej płomień twój.

Usta spieczone położył w piasku wilgotnym, gdzie w wyciśniętych śladach małych sandałów stała jeszcze rosa nocna...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/aryman-msci-sie>

Tekst opracowany na podstawie: Stefan Żeromski, *Aryman mści się w: Utwory epickie Stefana Żeromskiego wydane w dziesiątą rocznicę odrodzenia państwa polskiego: Powieść o udalym Walgierzu, Aryman mści się, Godzina, Wydawnictwo J. Mortkowicza, Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie, Warszawa 1929.*

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-1037-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).